



Andrzej Makowiecki

tom 3

ZIEMIA NAWRÓCONA



Księży Młyn
DOM WYDAWNICZY



Andrzej Makowiecki

tom 3

ZIEMIA NAWRÓCONA



 Księży Młyn
DOM WYDAWNICZY

KSIĘŻY MŁYN DOM WYDAWNICZY
pragnie podziękować wszystkim, którzy
pomagają przy tworzeniu naszych książek
swoim wsparciem i zaangażowaniem:

WŁAŚCICIEL: Michał Koliński
PRODUKCJA: Teresa Łozowska, Justyna Żurawicz
GRAFIKA: Julita Tomczak, Sylwia Mosińska,
Paulina Sobór-Hara, Ania Skurska, Tomasz Kuc,
Bartłomiej Kuc, Master Łódź, Tomasz Kochelski,
Wojciech Miatkowski, Wojciech Szybisty
REDAKCJA: Emilia Baranowska, Aneta Wieczorek,
Dominika Kawczyńska-Wojtuś,
Monika Ulatowska, Magdalena Jakuszew,
Magdalena Wasąg, Bartosz Zasieczny
PROMOCJA: Laura Rybczyńska, Magdalena Zakrzewska-Smura
SPRZEDAŻ: Jarosław Nowak



Książki dla ludzi ciekawych

KSIĘŻY MŁYN
Dom Wydawniczy Michał Koliński
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14
tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms)
www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

DROGI CZYTELNIKU,

książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę. Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie. Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

Okładka książki wzorowana jest na projektach okładek Andrzeja Waleckiego do pierwszych dwóch tomów *Ziemi nawróconej*.

Redaktor prowadzący

Teresa Łozowska

Redaktor

Monika Ulatowska

Współpraca redakcyjna

Weronika Wodzińska

Projekt okładki

Julita Tomczak

Skład

Wojciech Szybisty

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2024

ISBN 978-83-7729-805-3

Łódź 2024. Wydanie 1

Spis treści

Nie tyle prolog, co dalszy ciąg epilogu 7

KSIEGA PIERWSZA 23

Sprawy nie tylko rodzinne 23

A jednak wedle klanu 24

Narodziny 31

Nie tyle prolog, co dalszy ciąg epilogu

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1998 roku, podczas kolacji w obecności najbliższej rodziny Monika wyznała Igorowi Karczyńskiemu, że jest w ciąży, a baron Welc z ironicznym uśmieszkiem, jaki przybierają często kochający ojcowie, orzekł z flegmą włoskiego „dona”:

– No cóż, z głodu nie umrze. Wszystko jedno, co będzie: córka czy syn, byle był chłopak...

Igor, mąż Moniki i sprawca owego błogosławionego jej stanu (jak to się mawia, żeby uniknąć zakazanej w pruderyjnej literaturze „cięży”), przełknął ślinę i otarł łzy, których się wcale nie wstydził, po czym pocałował żonę w usta i mruknął jakby na przekór teściowi:

– A jak będzie dziewczynka, to jeszcze lepiej.

„Stary” Welc – który nie był wcale stary, bo miał sześćdziesiąt lat, co w dzisiejszej sędziwej erze świata jest raczej wiekiem młodzieńczym – popatrzył na zięcia trochę

tak, jak to zrobił, gdy Igor przeskoczył u Poznańskich płot podczas ślubu Moniki z Rosomakiem i przywleczony przez ochroniarzy stanął przed nim twarzą w twarz w pałacowym hallu.

– Nie chcesz doczekać się syna...? Spadkobiercy nazwiska i majątku? – zapytał przeciągle.

– Chcę, jasne, że chcę – odbił Karczyński głośniejszym i szybciej, niżby należało, co od razu zrozumiał, więc dodał z nutką przeprosin w głosie: – Ale dziewczynka też może przekazać potomstwu swoje rodowe nazwisko i majątek.

– Jak Skłodowska?

– Chociażby. Wszakże historia odnotowała wiele innych niewieścich sukcesji.

– „Wszakże” – pyknęła zjadliwie Alina, szwagierka Igora. – Nie możesz mówić jak człowiek?

– Daj mu spokój – osadził ją młody Welc.

– Ona ma rację – stanął Igor w obronie szwagierki. – Ciągłe jeszcze pokutuje we mnie belfer.

– Mnie to nie przeszkadza.

– A mnie tam wszystko jedno – wtrącił grzecznie Wojtuś, licząc ciągle na suty prezent pod choinkę. – Możesz sobie nawet paplać, ch... ch... wuju: „jednakowoż” i „wszelako”.

Ten śmiały występ bezczelnego łobuza skwitowany został zbiorowym, rodzinnym rechotem. A najgłośniejszym i najszczerzej, krztusząc się wprost z zachwycenia, rechotał Karczyński, postanawiając „wszelako”, że nie będzie już popisywał się przed bogatą rodziną swoim historycznym potencjałem. Niebawem miał tego pożałować.

Baron Welc, jakiś dziwny tego dnia i obcy, spojrzał na niego z ukosa.

– No więc oświeć nas w końcu, jakie to jeszcze spadki kobiece odnotowała historia.

– Nie ma o czym mówić. – Igor machnął ręką, przekonany, że na tym sprawa się zamknie. Nie przewidział „jednakowoż”, że w nieoczytanej rodzinie, do której wtargnął przebojem, jest od niego ktoś intelektualnie sprawniejszy.

Tym facetem z cicha pęk okazał się młody Welc, znakomity kardiochirurg, wyrodny syn, który stronił pozornie od szemranych interesów rodziny nieprzekraczającej niby granic prawa, lecz buszującej na jego przedpolach. Zerknął po otaczających go twarzach, gotowych już zmienić temat i pytlować o świętach, wyprodukował jeden z tych swoich zagadkowych, ironicznych półuśmiechów i podjął grzecznie:

– Ja wiem, o czym chciałeś powiedzieć nam jeszcze, Igorze, w kwestiach dziedziczenia po kądzieli.

– To wiesz więcej ode mnie – odparował Karczyński, znowu zbyt gwałtownie jak na szacowne audytorium potężnych Welców.

Był zły. Może nawet był wściekły. Nikt nie raczył zapytać Moniki: „Ile to już tygodni? Który to miesiąc, kochanie?”. Tulił czule oburącz dłoń żony, nie słuchając z początku, o czym spokojnie, ani wolno, ani szybko, ani na chwilę nie podnosząc głosu, rozprawia młody Welc. Zapytam ją o to – postanowił – jak wrócimy do domu.

Nagle dotarło do niego, że szwagier, młody kardiochirurg, wyręcza go w pewnym sensie i że cała rodzina, nie wyłączając Moniki, słucha Błażeja ze zdziwieniem, uwagą i dumą, kiedy prawi o Elżbiecie I, angielskiej królowej dziewicy, o jej kuzynce, Marii Stuart, królowej Francji i Szkocji, którą w sposób zakamuflowany i perfidny angielska władczyni pozbawiła życia, co nie zmienia faktu, że Jakub, syn zamordowanej, został później królem Anglii, który dla tronu zapominał nie tylko o nieszczęsnej matce, ale i o wierze katolickiej.

– Karol, książę Walii – ciągnął w najlepsze młody Welc – też zostanie niedługo monarchą brytyjskim nie po mieczu, lecz po kądzieli.

– W Anglii – nie wytrzymał Karczyński – a i w kilku innych europejskich i światowych krajach korona jest dziedziczna.

– A jaka była w Polsce? – zapytał niewinnie baron Welc. – Ktoś mnie oświeci?

– Najczęściej przez wybór, elekcyjna – niby to skromnie wyjaśnił Karczyński, nie wiedząc, że znowu dostanie w nos.

– Co nie podobało się zachodniej Europie – skomentował od niechcienia utalentowany syn barona, kardiochirurg.

– Zachód nie przejmował się zbytnio władcami ze wschodu – zauważył Karczyński.

– Nie było tak źle.

– Co masz na myśli?

– Ano, kiedy zdetronizowany został elekcyjny król Polski, Stanisław Leszczyński, Francuzi udzielili mu godnego schronienia w Chambord, wspaniałym zamku nad Loarą.

– Byłem tam – mruknął Karczyński, czując jednak, że ręka Moniki sztywnieje, a piękna, młoda żona wpatruje się w brata z zachwytem.

– My też tam byliśmy – uśmiechnął się po swojemu lekarz.

– Kiedy?

– Ooo, nim się z tobą poznaliśmy. Całą rodziną zrobiliśmy sobie wycieczkę po królewskich zamkach nad Loarą.

– Nie tylko zamkach – wtrąciła jadownicze żona doktora, uśmiechając się kąci-
kiem wąskich, poszerzonych lekko szminką, ust. – Zwiedziliśmy również te pieczary
w białych skałach, w których niegdyś...

– Ja to opowiem, ja! – wyrwało się małemu Wojtusiowi, który pamiętał wprawdzie, iż aby dostać wymarzony prezent na gwiazdkę, musi być grzeczny, wyczuł wszakże swoim chłopięcym instynktem, że na Igorze można sobie dzisiaj poużywać. – Więc cha, cha, cha, cha, kochany wuju, w tych pieczarach koczowały w prastarych czasach jakieś małpy, troglodzieje, czy coś w tym stylu, ale kiedy odkryli je bogaci Francuzi, ci najbogatsi, jak mój dziadunio, postanowili z tych śmierdzących i zawszonych, zapaskudzonych „jak nieboskie stworzenie” sraczy... tfu!... przepraszam, chciałem powiedzieć kulturalnie: kloak... stworzyć wspaniałe, ciężkie od złota, antyków i puszystych dywanów apartamenty, w których i dziadunio od bidy by pomieszkał, a ten poprzedni wujcio, co kombinował wtedy z Moniczką, zamierzał nawet zagrać o nie z jakimś żabojadem w karty.

– To Rosomak też był z wami na tej wycieczce? – zwrócił się szeptem do będącej „w błogosławionym stanie” żony Igor.

– Ano był, jako narzeczony.

– Nic mi o tym nie mówiłaś.

– Nie musiałam. I nie nazywaj go Rosomakiem. W końcu to mój były mąż i ojciec mojego dziecka.

Przełknął ślinę. Błysnęła mu w głowie szalona myśl. Nie! Daj spokój! Przestań wariować! To, co nosi teraz pod sercem, jest twoje.

Jednak miny wszystkich bez wyjątku członków klanu – zadowolone, trochę jakby ubawione w jakimś przykrym, solidarnym akordzie – zdawały się mówić co innego. Monika też grała strojnij w tym Welcbandzie. Jej ciepłe, zgrabne paluszki wysunęły się z rąk Karczyńskiego. Nieomal słyszał graną przez zespół melodię:

Jesteś tylko dawcą spermy. Dzieciak, kiedy się urodzi, i tak będzie nasz. Mały Welc lub mała Welcówna, z lekkim garbem na KARKU. Ale my ten KARK, jeśli zajdzie potrzeba, potrafimy skruszyć.

No, zobaczymy – deliberował Igor, choć w gruncie rzeczy nic się nie stało.

A jednak, a jednak Błażej w jakimś tam stopniu mnie upokorzył.

Zapomnij o tym.

Nie potrafię. Gdzie on się tego wszystkiego nauczył?

Jest zdolny. Diabelnie zdolny. Do interesów nie miał smykały, co początkowo drażniło „starego” barona, lecz teraz, kiedy został sławnym kardiochirurgiem, przed którym otwierają usłużnie drzwi wszystkie polskie szpitale, jest z niego dumny, ba!, pyszni się nim.

Tym bardziej, że Błażej nie wyciągnął jeszcze wszystkich asów z rękawa. Karczyński wszedł kiedyś do pałacowego gabinetu szwagra i zdziwił się, zobaczywszy na biurku pośród wydawnictw z zakresu medycyny przełożoną na angielski powieść Aleksandra Solżenicyna *One Day in the Life of Ivan Denisovich*. Nobel. Niełatwa lektura. On pewnie, chociaż się tym nie chwali, mówi lepiej po angielsku ode mnie. I pewnie, chociaż powinien się trzymać tylko jakże szerokiej wiedzy lekarskiej, jest jeszcze biegły w wielu innych dziedzinach.

Jakby na potwierdzenie owych podejrzeń i domysłów Karczyńskiego – a tak pięknie zaczął się ten wieczór, taka gorąca i słodka była z początku Monika! – pan doktor wytoczył na szaniec kolejną armatę.

– W niektórych muzeach francuskich widzieliśmy portrety Marii Leszczyńskiej z adnotacją: Królowa Polski.

– Ona nie była królową – przerwała uczony wykład męża Alina.

– A kim? – zaciekał się „stary” Welc.

– Jeśli chodzi o Polskę, jako córka Stanisława Leszczyńskiego była najwyżej królewną.

– Jesteś wspaniała! – pochwalił synową baron.

– Trudno się z tym nie zgodzić – zabasował ochoczo lekarz.

Musieli ciężko trenować przed tym prowokacyjnym występem – pomyślał Karczyński, postanawiając, że będzie milczał, że nie weźmie udziału w tej grze. Zapatrzył się w noc. Przez uchyloną zasłonę w oknie widział, jak w małym świetle parkowej latarni wciąż wirowały białe płatki, pokrywając puszystą kołdrą aleje i dróżki, klomby i drzewa o rozpostartych, ugiętych pod ciężarem śniegu ramionach. Świergot wróbli i krakanie wron, które jeszcze niedawno były tak miłe dla ucha, teraz raniły mu serce.

Czemu Monika uciekła z rączką? Co jest powodem, że klan Welców, zamiast rozprawiać wyłącznie o jej „błogosławnym stanie”, przemilcza ten doniosły moment w rodzinnych dziejach i pyskuje o jakichś historycznych głupstwach? Chyba nie spowodowała tego niewinna z jego strony rozmowa z Bożenną Podolińską, którą zresztą odprawił z kwitkiem?

– Igor... – zaczął znów młody Welc.

– Czego ty najeżdżasz dzisiaj na mnie, Błażeju? Nie lubisz mnie?

– Lubię.

– No to odpuść.

– Przedtem musisz jednak... No wiesz...

– Co?

– Pewne rzeczy trzeba sobie raz na zawsze wyjaśnić.

– Że jestem tylko piątym kołem u wozu?

– Niezupełnie.

I znowu, kiedy zaczął marzyć, aby wziąć Monikę i pospacerować z nią ostrożnie po tych białych, ośnieżonych alejach, aby zapytać, w którym to jest miesiącu i czy nie wiadomo już przypadkiem nic o płci, wtarał się w rozmowę Alina, uszczypliwa szwagierka, żona wybitnego znawcy serc.

– Królową Polski to może Maria Leszczyńska nie była, za to z całą pewnością była królową Francji.

Igor był zszokowany. Skąd ta oślica może o tym wiedzieć? Nawet jeśli musnęła swoim drapieżnym, zwężonym oczkiem jakiś portret Marii w Luwrze albo w Watykanie, czy też w jednym z zamków nad Loarą, trudno uwierzyć, aby to zapamiętała. Już bardziej pasowało to do Wojtusia.

– I to bardzo rodną królową – dorzuciła „oślica”. – Szwagier się zgadza?

– Tak.

– Co za ulga!

Karczyński nie miał zielonego pojęcia, co się za tym przedstawieniem kryje. W wąskich, przymrużonych oczkach szwagierki, za każdym razem, kiedy na niego patrzyła, oprócz niechęci i złości wychwytywał jakąś inną, zagadkową, drażniącą iskierkę.

Wojtuś obiecywał, że będzie przed Wigilią wzorem dobrego wnuka i syna, lecz wspomniana przez matkę „rodna królowa” rozpałała jego chłopięcą wyobraźnię.

– Ile ona tych dzieciaków, rozchylając szeroko uda, przysporzyła w ciężkich bólach porodowych mężowi?

Alina Welc pobłażliwie skwitowała synowską ciekawość.

– Ośmioro czy dziewięcioro.

– Fiu, fiu!

– Ale nie wszystkie przeżyły.

– Dobrze, że ja i mała Monisia nie mieliśmy takiego pecha. I że ciocia Monika dała Rosomakowi zdrową córuchnę.

Klan Welców ponownie nagroził to „wykroczenie” strojnym, zbiorowym chichotem, przy czym obok starego barona Monika grała w tej kapeli pierwsze skrzypce.

Karczyński był tak oburzony, iż z trudem powstrzymał się, aby nie wstać od stołu i nie opuścić tej rodziny – nie rodziny. Pospacerowałby sobie po ośnieżonych alejkach tego ni to parku, ni to ogrodu. Nacieszyłby oczy i duszę zimą, która miała się okazać jedną z ostatnich prawdziwych zim w tym burzliwym stuleciu i tym niby tak straszliwie długim tysiącleciu.

– Nie przypuszczałem, że niewinne z pozoru słowa mogą człowieka tak zranić – szepnął w stronę Moniki. – Na bratanka jakoś się nie gniewasz, kiedy mówi o twoim byłym mężu: Rosomak.

– Och, on jest jeszcze taki mały.

– I cwany.

– Zwrócę mu przy okazji uwagę – mruknęła na odczepnego piękność w „błogosławionym stanie”, któremu nikt jakoś w dalszym ciągu nie poświęcał uwagi. Wprost przeciwnie: macierzyństwo wciąż było na tapecie, dotyczyło jednak innego łona.

– I komuż to rodziła potomków owa piękna Maria z domu Leszczyńska? – zagadnął szczerze zafrapowany baron Welc.

– No jak to komu? Francuskiemu królowi.

– Jak mu było na imię?

– Ludwik.

– Ludwik. I to wszystko?

– No, niezupełnie – odrzekł z właściwym sobie ironicznym grymasem kardiochirurg. – Na tronie Francji zasiadało kolejno trzech władców tego imienia.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Może widziałem na jakimś filmie bądź coś czytałem, albo obito mi się o uszy.

– Skromny jesteś – zdecydował z akcentem zauroczony erudycją syna szef rodziny.

– Nic podobnego.

– Więc mów o tych trzech Ludwikach!

– Najpierw dzierżył koronę Ludwik XIV.

– Potem XV – nie mogła powstrzymać się od zaimponowania teściowi żona erudyty.

– A na koniec XVI! – wrzasnął mały Wojtuś, aby pokazać dziadziusiowi, że jeśli chodzi o liczenie do dwudziestu, nikt mu nie podskoczy.

Błażej przyjął ten rodzinny popis wiedzy historycznej z uznaniem, po czym zwrócił się do Igora:

– Drogi szwagrze, moja pamięć zaczyna szwankować.

– W czym mógłbym pomóc? – zapytał chłodno Karczyński, patrząc na lekarza przymrużonymi oczyma.

– Przypomnij mi, jeśli łaska, którego to Ludwika żoną była Maria z Leszczyńskich, płodna królowa Francji.

Cios padł znienacka. Karczyński pisał pracę magisterską o fascynujących go zawsze dziejach Krzyżaków w Polsce, lecz oprócz tego musiał mieć także rozległą znajomość historii powszechnej. Aby odpowiedzieć na perfidne pytanie Błażeja, potrzebna mu była chwila namysłu, co okazało się zbędne, gdyż nagle, natarczywie i głośno, zadzwonił telefon.

Nie była to żadna z obecnych na kolacji komórek, które wyparły z obiegu wszystkie inne środki komunikacji. Był to zwykły, ebonitowy, czarny aparat stacjonarny,

wciąż obowiązujący w niektórych instytucjach, między innymi w przychodniach lekarskich i szpitalach.

To właśnie ze względu na Błażeja ten grat nie został jeszcze wyrzucony przez okno. Lekarz, niby wolny zawód, jest najbardziej zniewoloną profesją na świecie. Pan ordynator musi być pod telefonem. Nie zna dnia ani godziny. Jak miał nieszczęście zostać w swoim fachu mistrzem, znajdą go nawet podczas wakacji za granicą.

Westchnął, odsunął krzesło, podszedł do małego stolika, na którego inkrustowanym blacie stał „grat”, i podniósł słuchawkę.

Jego zatroskana mina, nie tyle może dlatego, że trzeba będzie wyjechać, ile z troski, że przeżywa kryzys któryś z jego pacjentów, wypogodziła się nagle.

– Ochroniarz dzwoni – poinformował ojca.

– O co chodzi? – zdziwił się baron, bowiem ochrona, choć miała do tego prawo, sporadycznie korzystała z tej linii.

– Przyjechał posłaniec prezydenta Łodzi z jakąś podobno bardzo ważną informacją.

– Wpuść go! – zaordynował krótko stary.

Od tej chwili o Ludwikach nie mogło być zatem mowy. Klan, aczkolwiek nie okazywał tego głośno, wpadł w euforię.

– Wreszcie cię docenili – rzekł syn do ojca.

– Lepiej późno niż wcale.

Igorowi, nie wiadomo czemu, stanął nagle przed oczami tłusty, rudy, umierający kot. Widok ten rozszarpywał mu kiedyś serce. Bezdomne zwierzę, przez tydzień, może i dwa, leżało płasko, wciąż w tym samym miejscu, u wejścia do klatki schodowej, kiedy Karczyński mieszkał na Żeromskiego. Nikt oczywiście, włącznie z Igo-rem, nie pomógł rudzielcowi. Ktoś cisnął mu czasem pod nos okruszek chleba, lecz

kot nie jadł, nie poruszał się, przycupnięty do ziemi łapkami. Bywało, że otwierał na moment swoje żółte, zmętniałe oczy i wówczas – choć, jak to się powszechnie sądzi, zwierzęta nic niby nie wiedzą o śmierci – można było wyczytać w tych oczach całą gorycz i rozpacz wszechświata.

Jakim cudem wrócił akurat teraz do mnie ten kot? – przemknęło Karczyńskiemu w sercu i w głowie. – Przecież nie umieram. Przecież jestem podobno szczęśliwy i bogaty.

Młoda, urodziwa służąca otworzyła drzwi o wyłożonych kasetonach i do salonu, w którym spożywali tę wczesną, przedświąteczną kolację – choć za oknami stała ciemność, brakowało jeszcze sporo do osiemnastej – wkroczył bez najmniejszego zakłopotania dwudziestopięcioletni, najwyżej dwudziestosześcioletni młodzieniec.

Baron wstał.

– Zapraszamy, serdecznie zapraszamy. – Krągłym gestem wskazał mu wolne krzesło.

Odziany w szary, doskonale skrojony garnitur posłaniec, z chusteczką w kłapie i finezyjnie zaplątanym pod szyją krawatem, odmówił:

– Dziękuję, ale ja tylko na chwilę.

Był to jeden z tych przystojnych, uzdolnionych paniczów, którzy mierzą w życiu wysoko. Ukończywszy z wyróżnieniem studia, pracę w magistracie traktują przejściowo, chyba że dojrzą szczelinę, przez którą można by się wcisnąć na fotel wiceprezydenta.

– Czym zatem możemy służyć?

Igor zdziwił się, że prezydencki posłaniec nie patrzy ani na barona, ani na kardiochirurga. Prezydencki posłaniec patrzył na niego.

– Pan Karczyński, o ile się nie mylę? – zapytał, znając Igora widocznie z telewizji lub prasy.

– Owszem – bąknął zaskoczony Igor.

Posłaniec skinął lekko czołem, sympatycznie.

– Mam zaszczyt poinformować pana, że decyzją Rady Miejskiej i Kolegium do Spraw Rozwoju Budownictwa został pan na dzisiejszej sesji jednogłośnie wybrany na stanowisko naczelnego koordynatora rekonstrukcji i renowacji łódzkiego centrum. Jednocześnie przyznano panu nagrodę pieniężną i medal za szczególne zasługi.

Igor skamieniał na krześle.

Klan Welców słuchał z wytrzeszczonymi oczami.

Posłaniec, zapatrzony uważnie w twarz Karczyńskiego, ciągnął dalej:

– Jutro, o dwunastej w południe, w sali prezydialnej Urzędu Miasta wręczona zostanie panu wspomniana nominacja, nagroda i medal. Uroczystość, którą zakończy konferencja prasowa i tradycyjny kieliszek szampana, uświetni oficjalnie zapowiadana wizyta pierwszego sekretarza ambasady USA w Warszawie... Z tego, co wiem, chce panu osobiście podziękować za domy szczęśliwej starości, które powstały dzięki panu w Łodzi dla Amerykanów polskiego pochodzenia.

– No i wpadło gówno w wentylator! – wyrwało się Wojtusiowi.

Babka, baronowa Welc-Kręglewska, skarciła go lekkim kłapsem w plecy.

Posłaniec skwitował wybryk chłopaka zagadkowym półuśmieszkiem. Może słyszał coś o panujących w klanie nastrojach. Nikt nie miał co do tego pewności, ale nawet jeśli była w tym nutka przekąsu, powiedział:

– Nie muszę dodawać, że wszystkich państwa też oczywiście zapraszamy na jutro, abyście mogli cieszyć się sukcesem członka rodziny.

Stary Welc nie dzwignął się jeszcze z nokautu, ale młodszy stanął na wysokości zadania, powstał i oświadczył:

– Dziękujemy bardzo! Wielki to dla nas zaszczyt. Przyjdziemy, bez wątpienia przyjdziemy, aby towarzyszyć mu w radosnych okolicznościach.

Na Igora zerknęła teściowa, baronowa Welc-Kręglewska; wciąż odznaczała się nadzwyczajną urodą, taką, w której zakochują się nastolatki, a przy dzisiejszym rozluźnieniu obyczajów – czasem także nastolatki. W dużych, ciemnoniebieskich oczach teściowej młody „naczelnik koordynator” dojrzał oprócz dumy i ciepła inną jeszcze, frapującą iskierkę, która, żywił nadzieję, umknęła czujnemu baronowi.

Ciepłe paluszki Moniki wpęły do jego dłoni, lecz odsunął je delikatnie.

Posłaniec pochylił głowę.

– Teraz zmuszony jestem pożegnać się z państwem, bowiem w związku z jutrzejszą uroczystością muszę jeszcze załatwić parę spraw.

– Pan pozwoli, że odprowadzę pana do bramy – zaproponował uprzejmie Karczyński, ujmując posłańca delikatnie pod ramię.

– Będzie mi bardzo miło – odpowiedział z atencją posłaniec.

Obydwaj skłonili się rodzinie i opuścili salon. Służąca, która podsłuchiwała pod drzwiami, umknęła na bok.

– Ładna – zauważył gość.

– Kelnerką kiedyś była w Lyonie – wyjaśnił gospodarz.

– We Francji?

– Nie, w tej łódzkiej restauracji.

– Zna francuski?

– O, tak. Doskonale radzi sobie z językiem.

Rozmawiali niewinnie: unikali śmiechu. Ale chociaż Igor był od posłańca o siedem-osiem lat starszy, od razu zadzierzgnęła się między nimi przyjazna więź.

Zeszli po kolistych, marmurowych schodach do tego parku czy też ogrodu.

– Uroczy zakątek – ocenił prezydencki kurier, rozglądając się ciekawie wokół. – I ta ogromna, niesamowita wprost choinka.

– To nie choinka, to autentyczne drzewo z korzeniami, stuletni świerk, udekorowany po sam czubek na życzenie teścia przez pewnego alpinistę.

– Ho, ho. Wygląda jak rekwizyt z filmowej bajki.

Wiatr targał lekko rozczapierzonymi gałęziami świerka, w barwnych, zawieszonych na nim lampkach wirowały, niczym zwabione światłem ptactwo, płatki śniegu, które wciąż pokrywały swoją puszystą perzyną aleje i dróżki. Dwaj stojący przed zdobnie zakratowaną bramą rozdyskutowani ochroniarze w czarnych kombinezonach i czarnych, wysokich saperkach zamilkli na ich widok.

– Pan wybaczy, że ośmielę się zapytać – zwrócił się posłaniec do Igora. – Ma pan dzieci?

– Owszem, to nie jest żadną tajemnicą – odparł Karczyński. – Mam przybraną, ale ukochaną, dwuletnią córeczkę Monisję. – O tym, że spodziewa się drugiej córki, nie wspomniał.

– To samo imię nosi bodajże pańska małżonka.

– Dokładnie.

Masywny, milczący ochroniarz wszedł do strażniczej budki i nacisnął guzik.

Drugi ochroniarz, też masywny i też milczący, stał na baczność przed bramą.

Furtka w bramie rozsunęła się na strony z mechanicznym, ospałym lenistwem. Posłaniec ucisnął dłoń Igora i przekroczył ją, aby zginąć po chwili w drzwiach czarnego, przedłużonego mercedesa z herbem Łodzi na karoserii.

Igor uniósł rękę gestem pożegnania i zawrócił, starając się stąpać po tych samych śladach, które wydeptali z posłańcem w śniegu, idąc do bramy.

U ciężkich, rzeźbionych wrót pałacu znowu mignęła mu buzia służącej.

Jest rzeczywiście śliczna – pomyślał i raptem błysnął mu w głowie wyraz oczu teściowej, która obrzuciła go w salonie znaczącym spojrzeniem. A potem przypomniał sobie telefoniczną rozmowę z Bożenną Podolińską, która też przyprawiła zmysły o gorący dreszcz.

Co się ze mną dzieje, do ciężkiej cholery! – potępił się w duchu, ale przepełniało go szczęście.

– Dobra! – postanowił. – Zagramy w tego pokera!

Na kliszy wspomnień pojawił się, Bóg wie czemu, ryży kot, który leżąc nieruchomo u wejścia do klatki schodowej, odemknął na chwilę zmatowiałe oko i myrdnął od niechcenia rudym ogonem.

KSIEGA PIERWSZA

Sprawy nie tylko rodzinne

A jednak wedle klanu

Igor Karczyński, kiedy studiował historię, a potem uczył tego przedmiotu w liceum, był w kwestii doboru lektur nader wybredny i to w odniesieniu zarówno do siebie, jak i swoich uczniów. Znał oczywiście literaturę polską i powszechną, gdyż obydwie żywiły się często aktami historii, lecz nie wszyscy pisarze czynili to po jego myśli.

Nie zgadzał się jako historyk między innymi z czwartym tomem *Wojny i pokoju* Tolstoja, twierdząc otwarcie w swoich uniwersyteckich pracach, że analizy i osądy, jakie zamieszcza w nim autor na temat wojny Kutuzowa z Napoleonem, są nie tylko nudne, lecz i w znacznej mierze chybione.

Na piątym roku studiów trzeba było wybrać temat pracy magisterskiej. Ukochany, znany w całym kraju profesor sugerował mu gorąco „Powstanie Listopadowe”, Igor uparł się jednak przy „Krzyżakach w Polsce” i „pokłócił się” w związku z tym z Sienkiewiczem.

Nie znaczy to wcale, że nie czytywał czasami dobrych kryminałów, tu wszakże też miał swoje zastrzeżenia. Wydawany w ogromnych nakładach „za komuny” Raymond Chandler, który uważał skromnie sam siebie za drugiego, najwybitniejszego poza Hemingwayem amerykańskiego pisarza, „popęłnił” wedle Igora jedną tylko świetną powieść, *Długie pożegnanie*. Wszystkie pozostałe, choć roilo się w nich od przerysowanych, dowcipnych dialogów, zwrotów i porównań, były rozwlekłe przeciętne i w połowie lat dziewięćdziesiątych straciły czytelników.

Uznając go wprawdzie, jak Victor Hugo, za niezwykle talent, nie przepadał również, poza kilkoma wyjątkami – *Eugenia Grandet*, *Ojciec Goriot* – za twórczością Balzaka. Autor cyklu *Komedia ludzka* pisał nade wszystko dla sławy, pieniędzy i kobiet, których ciągle odczuwał brak. Aby zarobić, straszliwie zatem się spieszył, nie wypuszczając praktycznie pióra z ręki, co źle wpływało na jakość jego licznych, różnorodnych dzieł. Dzisiaj też mu w Polsce brak wielbicieli.

I tu dochodzimy powoli do sedna naszej opowieści. Karczyński trafił w księgarni przy Piotrkowskiej na sześciotomowe dzieło Johna Galsworthy'ego, który trzy pierwsze pozycje zatytułował *Saga rodu Forsyte'ów*, a trzy następne, będące kontynuacją losów głównych bohaterów – *Nowoczesna komedia*.

Ani u Balzaka, ani u Galsworthy'ego o żadnych komediowych sztuczkach nie ma co marzyć, jeśli podczas lektury chciałbyś wybuchnąć śmiechem. Nie wiadomo nawet, czy autorzy obydwu tych ciągów powieściowych pozwolą przymrużyć ci oko.

Są bardzo poważni, dramatyczni, romantyczni.

W którymś tomie *Komedii* Anglika, skądinąd noblisty, zresztą... może to nie w *Komedii* było, tylko w *Sadze*... Igor nie pamiętał dokładnie... Jeden z głównych bohaterów wszystkich sześciu części cyklu, Soames Forsyte, przeżywa dramatycznie dni. Był już po rozwodzie ze swoją pierwszą żoną Ireną i po ślubie z drugą, która właśnie miała rodzić. Syna, jak sobie wymarzył, nie córkę. Zarówno Soamesowi, jak i jego dziewięćdziesięcioletniemu ojcu Jamesowi, potrzebny był pilnie, na gwałt, męski potomek, spadkobierca nazwiska i ogromnego majątku. Jednakże kapryśny los sprawił, że jego piękna, francuska, młoda połowica nie chłopczyka powiła, lecz dziewczynkę. Soames, kiedy ujrzał niemowlę, był przez chwilę rozczarowany, a po chwili zakochany bez pamięci. Nie zmienia to faktu, że kiedy stanął przed łóżem

umierającego ojca, który miał zaraz oddać ostatnie tchnienie, odpowiedział na jego błagalny, pytający wzrok coś w tym stylu: „Dobre wieści, tato. Doczekałeś się wnuka”.

Idąc tym tropem, Karczyński zdecydował, że i on w ten sposób poigra sobie z opatrnością. Córeczkę, przybraną, choć uwielbianą Monię, już miał. Teraz przydałby mu się następca tronu, ktoś od imienia i nazwiska. No i fortuny, którą postanowił pomnożyć.

Zawsze trzeba grać na przekór, w drugą stronę – medytował przebiegle. – So-ames pragnął obsesyjnie syna, urodziła się córka, więc dla odmiany ja będę pragnął córki, zobaczmy, co przyjdzie na świat.

Skryta radość Igora

Za każdym razem kiedy Monika szła do przychodni na badania, Karczyński prosił ją usilnie, aby nie dopytywała lekarza o płeć dziecka.

– Naprawdę ci na tym tak zależy?

– Bardzo! Niech do końca będzie to słodką tajemnicą. Niech do końca będzie to niespodzianką.

Monika przystała i dotrzymała słowa. Tak się przynajmniej Igorowi wydawało. Gdyby dowiedziała się czegoś mimo wszystko, wyczytałby to po zachowaniu rodziny.

Przetrwała swój „błogosławiony stan” dzielnie i pogodnie. Nie jęczała, nie płakała, nie skarżyła się na ból kręgosłupa. Przytyła. Miała ogromny apetyt, z którym próbowała walczyć, lecz nocą, kiedy Igor spał jak zabity, wymykała się z łóżka pod czerwono-złotym, kiczowatym baldachimem i podkraδαła z lodówki słodczyce, szczególnie te z czekoladą i kremem, eklerki i wuzetki dostarczane sekretnie przez służącą.

Przez kilka ostatnich miesięcy Igor zmuszony był powściągnąć swoje miłosne zapędy, nie znaczy to jednak, że zaniedbywał wiecznie pobudzoną żonę – stosował inne, bardziej wyrafinowane karesy.

Posapywała wtedy cichutko:

– Och, to jest słodkie.

– Jak krem i czekolada?

– Bardziej.

– Nie mogę się doczekać, kiedy znowu będziemy to robić normalnie.

– Bądź cierpliwy, już niedługo – szepnęła mu na ucho, z językiem, i zaskoczyła go nagle: – Jak nie możesz wytrzymać, nie mam nic przeciwko temu, żebyś sobie ulżył na boku.

– Co też ci przyszło do tej ślicznej główki?

– Znam po prostu mężczyzn.

– Nie wątpię – mruknął zszokowany i raptem, może i wbrew sobie, podjął te erotyczne, nie tylko słowne igraszki.

– I z kim niby miałbym to zrobić?

– A co to mało jest dziewcząt i kobiet, które się w tobie kochają? Wystarczy rozejrzeć się dookoła.

– Przeceniasz mnie.

– Nie sądzę.

Czuł ogień w brzuchu i mrówki. Był okropnie podniecony, przypomniał sobie ulotne spojrzenie teściowej. O pokojówce, dawnej kelnerce z Lyonu, i Bożennie Podolińskiej nie pomyślał.

– Mam nadzieję – powiedział, aby ukryć swój stan – że kiedy wrócisz do formy, nie poprosisz mnie, abym ja z kolei pozwolił ci, żebyś sobie użyła na boku.

I usłyszał odpowiedź, która jeszcze bardziej go podnieciła:

– Kto wie...?

– Mogłabyś to zrobić? – nie dowierzał.

– Ech, ty kusicielu. Jesteśmy przecież nowoczesną parą, a seks ma tyle uroku.

– Kogo byś sobie wybrała na pociechę? – dociekał zazdrosny teraz i bliski orgazmu.

– To już moja, jak powiadasz, słodka tajemnica. Niechaj do końca pozostanie niespodzianką. – I w tym momencie przed Igorem zaczęła szczytować.

Zaprowadził ją pod prysznic do łazienki. Nie było normalnego kochania, ale to, które po raz pierwszy przytrafiło się im przy pomocy delikatnych pieszczot i słów, nie było gorsze.

– Zgrzeszyliśmy? – Przytulił ją czule.

– Nie bardzo. – Odwzajemniła ten porozumiewawczy, namiętny odruch.

– Królowie mieli wiele żon.

– A królowe wielu kochanków – przytaknęła, aby rozwinąć ten seksualny wątek.

– I nikt z tego powodu nie robił wielkiego halo.

– Tak jak nikt nie oburza się na muzułmanów, że mogą mieć w świetle prawa cztery żony.

– Właśnie.

Między Moniką a Igorem zapadło jakieś ciche, frapujące porozumienie.

W połowie lipca, tuż przed rozwiązaniem, cały klan, nie wyłączając małej, prawie już trzyletniej Moniczki, znowu zebrał się na uroczystej kolacji w pałacowym salonie starego barona.

Trwało ostatnie lato milenium. Dobiegała kresu kolejna, nieodgadniona, podzielona na króciutkie, tysiącletnie okresy historia wszechczasu i wszechprzestrzeni,

niemająca początku, bo przecież przed początkiem też musiało coś tam istnieć, czego nie mogą zrozumieć ateści, i niemająca końca, bo za każdą granicą też musi coś tam być, choćby niezamieszkała jeszcze pustka nicości.

Nikt nie odgadłby, że Igor Karczyński, siedząc u boku brzemiennej żony w salonie teścia, rozmyśla o takich akurat sprawach.

– Bóg natura – jak to sobie wydumali na pociechę wielcy filozofowie i pisarze.

– Ewolucja.

– Wszystko wzięło się z wody.

– To, że co do ułamka sekundy można przewidzieć bieg planet i fazy księżyca, i że za kilkaset lat będzie kolejne zaćmienie słońca – też wedle różnych wybitnych umysłów nie jest dziełem Boskiego Zegara, tylko... czego, do jasnej cholery?!

– Przypadku?!

– Boga natury?

Kogo stać na taką precyzję? – zadawał sobie od dawna dręczące pytanie były nauczyciel historii, wizjonerski, śmiały człowiek interesu, który wdarł się przebojem w elitarną sferę Łodzi.

Baron nie czuł się chyba tego wieczora zbyt dobrze. Wbrew dotychczasowym spotkaniom poświęconym materialnej kondycji Welców, które odbywały się w jego gabinecie po kolacji, tym razem zaprosił Igora wcześniej. Zamienili kilka słów, popróbowali starej whisky. Igor wypalił papierosa, zaś teść bez przekonania włożył do ust wielkie hawajskie cygaro, żeby zaraz przełamać je w palcach i odrzucić na biurko. A kiedy usiadł za stołem w salonie, nie sięgnął nawet po nóż i widelec, aby coś zjeść.

– Sądzę, że ojciec może mieć kłopoty z sercem – zaalarmował Monikę szczerze zatroskany Igor.

– Zawsze je miał – odparła.

– No dobrze, ale co na to Błażej?

– On nie chce dodatkowo niepokoić Błażeja.

– Więc ja to zrobię.

– Jak uważasz. Znowu leci w sobotę do Kalifornii na Światowy Zjazd Kardiologów.

– Nic mi o tym nie mówił.

– Jak ktoś ma do czynienia z takim geniuszem jak ty, woli być cicho.

– Zawsze go ceniłem i podziwiałem – oburzył się Igor. – I nigdy się to nie zmienia.

– Oby! I przestań krakać. Tata zaraz dojdzie do siebie i odzyska humor, bo to przecież jego urodziny.

Nie odzyskał jednak. Ani humoru, ani apetytu. Był blady i osowiały. Parokrotnie dyskretnie pod klapą marynarki głaskał klatkę piersiową.

– Coś nie w porządku? – odważyła się zapytać Alina Welc, drapieżna żona Błażeja.

Baron spojrzał na nią z niechęcią.

– Daj spokój.

– Martwię się po prostu o tatę.

– To się nie martw.

Monika, która miała u kolan wózek z małą córeczką, paplającą już radośnie i wymawiającą poprawnie kilkanaście słów, krzyknęła raptem, wyciągając rączki:

– Diadia, diadia!

Blady jak płótno baron przesłał jej ręką całusa. Zazdrosny Wojtuś zauważył to i poprawił kuzynkę:

– Dziadzia! Mój ukochany dziadunio!

– Mój, mów! – wykrzykiwała mała, nie wiadomo, czy przyjmując poprawkę wujecznego brata, czy też podejmując z nim dyskusję.

– Wybaczcie – mozolnie wyartykułował baron, dźwigając się z krzesła. – Jestem trochę zmęczony, muszę się położyć.

Igor i Błażej podbiegli do niego z dwóch stron i poprowadzili długim korytarzem do sypialni. Baronowa okrążyła stół i usiadła obok ciężarnej córki i wnuczki, która nie pojmowała, co się stało, lecz w jej maleńkich oczkach błysnął strach.

Głowa rodziny osunęła się w ramionach syna i zięcia w sypialni i padła na rzeźbione łożo nieprzytomna.

Baron miał ciężki zawal i wylądował w szpitalu syna na oddziale kardiologii, którego Błażej był ordynatorem, najmłodszym w kraju, jeśli chodzi o tę królewską konkurencję.

Mimo usilnych protestów ojca do Kalifornii na zjazd nie polecał.

Karczyński był pod wrażeniem tej decyzji. Lekarz znowu pokazał swą nieprzeciętną klasę.

Narodziny

Dziecko przyszło na świat 10 sierpnia 1999 roku w szpitalu Błażeja Welca oczywiście, i pod jego specjalną kuratelą.

Monika, jak zwykle dzielna, do ostatniej chwili próbująca zachować pogodę ducha, rodziła około czterech godzin, przed południem.

Igor, który przybył na szpitalny oddział położniczy po szczęśliwym rozwiązaniu, patrząc na twarze szwagra, szwagierki i teściowej – teść po zawale odpoczywał w pałacowych włościach – nie musiał pytać o płeć niemowlęcia, ale to zrobił:

– No i co?

– Zaczekaj trochę, to sam zobaczysz.

- Nie ma dziecka przy piersi?
- Pielęgniarka zaraz je przyniesie.
- Ale nic się chyba złego nie dzieje?
- Jest dobrze – orzekł z pozycji swego lekarskiego autorytetu młody Welc.
- Mogę do niej wejść?
- Nie teraz. Zasnęła. Niech odpocznie.

Znowu rządzi – stwierdził ze złością Karczyński. – Do czasu i tylko na swoim terenie.

Przyznać musiał, że kompleks szpitalny na Dołach jest fantastycznie wyposażony i zasługuje na światową renomę. Po sterylnych korytarzach oddziału przemykały bezgłośnie, młode, nieskazitelnie czyste pielęgniarki, czasami z noworodkami na rękach, a te z kolei albo spały, albo popłakiwały. Rzadziej pojawiała się normalnym krokiem lub truchtem lekarka, pierwsza z twarzą pogodną, druga – zatroskaną. Ginekolog, też wymuskany i przystojny, w śnieżnobiałych rękawiczkach, wychynął z jakiegoś gabinetu, aby po paru krokach zawrócić gwałtownie i zatrzaskać za sobą drzwi.

Igor czekał, wciąż czekał, wsłuchując się w ciszę korytarza, przerywaną tylko wtedy, kiedy ktoś wchodził lub wychodził z którejś sali. Można wówczas było usłyszeć przeróżne odgłosy: płacze, jęki, błagania, wołanie Boga i miotane pod jego adresem przekleństwa, stękania, niespodziewane oświadczenia, oskarżenia o zdradę i cudzołóstwo, wyrazy uwielbienia i miłości i cały szereg innych jeszcze wyznań.

Był naprawdę zszokowany, patrząc na profil stojącego u otwartych drzwi człowieka, obrzucanego przez rodzącą żonę czy też narzeczoną okropnymi wyzwiskami.

– Ty skurwysynu! Ty złamany chuju! Ty zaszany palancie! Już drugi dzień tak się przez ciebie męczę, parszywcu! Wcale nie chcę i nie chciałam tego dziecka! Ciebie też nie chcę! Zabierz stąd tę swoją smutną minę i żebym cię nie widziała! Spierdałaj!

- Uspokój się, kochanie – mówił łagodnym, współczującym głosem mężczyzna.
- Och, jak rwie, jak potwornie boli!
- Zaraz wszystko przejdzie, najdroższa.
- Paszoł won! Paszoł won! Lepiej zdechnąć niż przeżywać takie katusze! Przeklinam dzień, kiedy cię poznałam.

Niewidzialna ręka pielęgniarki wypchnęła biedaczysko na korytarz i zamknęła drzwi. I znowu była cisza.

- Nienawidzi go? – zwrócił się Igor do Błażeja.
- Albo kocha – odpowiedział lekarz.
- Więc czemu tak okropnie go znieważa? – dociekał wstrząśnięty do głębi „koordynator”.

- To jest stres porodowy, zdarza się i to wcale nie rzadko, Igorze.
- Monika też mnie tak przeklinała?
- Nie doceniasz mojej siostry, szwagierku – rzekł z nieczęstym u niego uczuciem Błażej. – Wspomniała cię kilkakrotnie z miłością.

On jest naprawdę cudowny – stwierdził po raz tam któryś w duchu Karczyński. Nie poleciał do Kalifornii, żeby opiekować się ojcem. Przy Monice ślęczał od początku do końca, a ja wiecznie czepiam się i czepiam. Ponad półtorej godziny minęło, nim w korytarzu objawił się wreszcie żywy cud: pielęgniarka z noworodkiem w pieluszkach i lekarka. Wszyscy weszli do sali i maleństwo legło u boku śpiącej matki.

Pani doktor zwróciła się z ogromnym szacunkiem do Błażeja, zerknąwszy na pozostałe osoby tylko raz.

- Gratuluję zdrowego siostrzeńca.
- A ja dziękuję – powiedział niefrasobliwie – za opiekę nad maleństwem i siostrą.
- Zostańcie sami. – Dotknęła ramienia pielęgniarki i obydwie opuściły salę.

– Skoro są rodzice w komplecie, niechaj nacieszą się okruszkiem bez świadków – zaproponował taktownie Błażej, patrząc wymownie na swoją zadumaną żonę i matkę.

– Idźcie, jedźcie do domu, najwyższy czas – powiedziała baronowa Welc-Kręglewska. – Ale ja jeszcze troszeczkę muszę sobie przy nich posiedzieć.